

Rozdział 1. NIEUDANY CASTING

Najpierw opowiem wam o pannie Frost. Chociaż trzymam się wersji, że zostałem pisarzem, bo jako chłonny piętnastolatek przeczytałem pewną powieść Karola Dickensa, poznanie panny Frost i fantazje na jej temat przypadają tak naprawdę na okres wcześniejszy, i ta chwila przebudzenia seksualnego wyznacza również narodziny mojej wyobraźni. Kształtuje nas to, czego pragniemy. W ciągu niespełna minuty potajemnej żądz zapragnąłem zostać pisarzem i uprawiać seks z panną Frost – niekoniecznie w takiej kolejności miałyby się spełnić marzenia.

Poznałem pannę Frost w bibliotece. Lubię biblioteki, chociaż to słowo sprawia mi trudność, zarówno w liczbie pojedynczej, jak i mnogiej. Mam problem z wymową poszczególnych wyrazów, zwłaszcza rzeczowników, na określenie ludzi, miejsc oraz rzeczy budzących we mnie chorobliwe podniecenie, konflikt wewnętrzny wywołujący atak nieposkromionej paniki. Tak przynajmniej twierdzą logopedzi i psychiatry, którzy próbowali mnie leczyć, bezskutecznie, niestety. W podstawówce powtarzałem klasę z powodu „ostrej wady wymowy”. Obecnie dobijam siedemdziesiątki i przyczyna mojej przypadłości przestała mnie interesować. (Mówiąc wprost, mam w poważaniu etiologię).

Słowo „etiologia” wolę sobie darować, lecz od biedy mogę wysilić się na możliwie czytelną karykaturę „biblioteki” bądź „bibliotek” – przy czym nigdy do końca nie wiadomo, co z tego wyniknie. (Przeważnie mówię „biblioteka”, jak dziecko).

Zakrawa na ironię, ale moja pierwsza biblioteka nie wyróżniała się spośród innych. Była to placówka publiczna w małym miasteczku First Sister w stanie Vermont – kanciasty budynek z czerwonej cegły, na tej samej ulicy, przy której stał dom moich dziadków. Mieszkałem z nimi na River Street do piętnastego roku życia, kiedy to mama powtórnie wyszła za mąż. Poznała mojego ojczyma w teatrze.

Miejscowa amatorska trupa teatralna nosiła nazwę Aktorzy First Sister; odkąd sięgam pamięcią, widziałem wszystkie przedstawienia. Mama była suflerką – gdy zapomniałeś, co masz mówić, podrzuciła ci kwestię. (W wypadku trupy amatorskiej aktorki zapominają na potęgę). Latami sądziłem, że sufler to jeden z aktorów – tajemniczym zrzędzeniem losu znajduje się poza sceną i nie ma kostiumu, lecz nieodrodnie partycypuje w dialogu.

Kiedy matka poznała ojczyma, właśnie wstąpił do trupy. Przyjechał do naszego miasteczka jako nowy nauczyciel w Akademii Favorite River, prestiżowej, prywatnej szkoły dla chłopców. W dzieciństwie (z pewnością do dziesiątego, jedenastego roku życia) musiałem wiedzieć, że gdy osiągnę „odpowiedni wiek”, wstąpię na Akademię. Biblioteka w szkole, bardziej nowoczesna i lepiej oświetlona, mogła się podobać, jednak moją pierwszą biblioteką była biblioteka publiczna w miasteczku First Sister, a tamtejsza bibliotekarka moją pierwszą bibliotekarką. (Tak się składa, że wymawianie słowa „bibliotekarka” zawsze szło mi jak z płatką).

Chyba nie muszę dodawać, że panna Frost wywarła na mnie większe wrażenie aniżeli sama placówka. Wstyd przyznać, ale dopiero po długim czasie dowiedziałem się, jak miała na imię. Wszyscy mówili na nią „panna Frost”, a gdy wreszcie zapisałem się do biblioteki, poznałem bibliotekarkę; wyglądała na osobę w wieku mamy – lub nieco młodszą. Moja ciotka, kobieta o wielkopańskich manierach, wspomniała, że panna Frost „była kiedyś bardzo przystojna”, ale nie mieściło mi się w głowie, że kiedykolwiek wyglądała lepiej, niż gdy ją poznałem – a moja młodociana głowa pomieścić mogła naprawdę sporo. Ciotka twierdziła, że na widok panny Frost wszyscy wolni mężczyźni w mieście potykali się o własne nogi, a gdy któryś wreszcie zdobył się na odwagę, by zagaić, nadobna wówczas bibliotekarka mierzyła go chłodnym spojrzeniem i odpowiadała lodowato: „Jestem panna Frost. Nigdy nie wyszłam za mąż i nie mam takiego zamiaru”.

Tak więc, kiedy się poznaliśmy, panna Frost wciąż była niezamężna, a wolni mężczyźni w miasteczku First Sister z powodów dla mnie niepojętych dawno przestali jej się przedstawiać.

Przełomową dla mnie powieścią Dickensa – przez nią, jak zawsze podkreślam, postanowiłem zostać pisarzem – stały się „Wielkie nadzieje”. Na pewno miałem piętnaście lat, kiedy przeczytałem ją po raz pierwszy i gdy po raz pierwszy sięgnąłem po tę książkę kolejny raz. Wiem, że było to, zanim wstąpiłem na Akademię, bo przy obu okazjach korzystałem z biblioteki publicznej. Nie zapomnę dnia, kiedy zjawiłem się w bibliotece, aby znów wypożyczyć „Wielkie nadzieje”; jeszcze nigdy nie miałem ochoty na ponowną lekturę książki.

Panna Frost zmierzyła mnie przenikliwym spojrzeniem. Wątpię, czy sięgałem jej wówczas do ramion. „Panna Frost była kiedyś, jak to mówią, posągowa”, zakomunikowała mi ciotka, jakby wzrost i postura panny Frost należały do przeszłości. (Dla mnie zawsze była posągowa).

Miała wyprostowaną sylwetkę i szerokie ramiona, przy czym moją uwagę przykuwały jej drobne, ale ładne piersi. Na tle „męskawej” budowy i oczywistej tężyzny fizycznej, biust panny Frost zdawał się dopiero pączkować, jak u młodej dziewczyny. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe u dojrzałej kobiety, jednak z całą pewnością fakt ów rozpałał wyobraźnię każdego nastolatka, o czym byłem święcie przekonany w roku – kiedy to było? – tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Weźcie przy tym pod uwagę, że panna Frost nigdy nie ubierała się prowokująco, przynajmniej w ciszy biblioteki publicznej ziejącej pustką bez względu na porę dnia.

Kiedyś podsłuchiłem, jak moja władcza ciotka mówiła (do matki), że „panna Frost dawno wyrosła ze staników treningowych”, co dla trzynastolatka znaczyło, iż jej zdaniem staniki panny Frost nie pasują do jej piersi bądź vice versa. Ależ bynajmniej! I gdy zmagalem się w sobie z moim i ciotki

poglądem na temat piersi damy mojego serca, niezrażona bibliotekarka wciąż patrzyła na mnie badawczo.

Poznałem ją, mając lat trzynaście, w owej chwili byłem już piętnastolatkiem, ale odnosiłem wrażenie, jakbym podlegał takiej lustracji od początku naszej znajomości.

– Czytałeś już „Wielkie nadzieje”, Williamie – oznajmiła wreszcie w kontekście mojej zachcianki.

– Tak, ja kocham tę powieść – powiedziałem, miast wypalić, że kocham ją, co miałem na końcu języka. Była krępująco oficjalna i tylko ona zwracała się do mnie per „Williamie”. Rodzina i przyjaciele zawsze mówili „Bill” lub „Billy”.

Pragnąłem ujrzeć pannę Frost tylko w staniku, który (zdaniem mojej wścibskiej ciotki) podtrzymywał nieadekwatnie jej piersi. Jednakże w miejsce tego wyznania uciekłem się do oględnego „Chciałbym jeszcze raz przeczytać »Wielkie nadzieje«” (nie zdradzając przy tym obawy, że wpływ panny Frost na mnie okaże się nie mniej druzgoczący od wpływu Estelli na biednego Pipa).

– Tak szybko? – zdziwiła się panna Frost. – Czytałeś to nie dalej jak miesiąc temu!

– I chciałbym znowu.

– Jest mnóstwo książek Karola Dickensa – oświeciła mnie. – Powinieneś wypożyczyć inną, Williamie.

– Ależ wypożyczę – zapewniłem. – Ale najpierw chcę jeszcze raz przeczytać „Wielkie nadzieje”.

Kolejne „Williamie” w ustach panny Frost przyprawiło mnie o natychmiastową erekcję – chociaż w wieku piętnastu lat penis miałem tyci, a wzwód zakrawał na kpinę. (Dość rzec, że panna Frost nie miała szans go zauważyć).

Moja wszytkowiedząca ciotka powiedziała matce, że jestem niedorozwinięty jak na swój wiek. Rzecz jasna, miała na myśli „niedorozwój” pod innym względem; o ile mi wiadomo, nie widziała mojego penisa, odkąd byłem dzieckiem w kolebce – jeśli w ogóle. Do tej kwestii jeszcze wrócimy. Na razie starczy wam wiedzieć, że słowo „penis” kosztuje mnie wiele wysiłku

i w moim wykonaniu – jeśli już zdołam je wydukać – brzmi bardziej jak „penif”. (Jak ognia unikam liczby mnogiej).

Tak czy inaczej, kiedy po raz drugi usiłowałem wypożyczyć „Wielkie nadzieje”, panna Frost była nieświadoma mojej seksualnej udręki. Ba, dała mi do zrozumienia, że wobec tylu innych ksiązek w bibliotece chęć ponownego przeczytania którejś z nich zakrawa na niemoralną stratę czasu.

– Cóż takiego niezwykłego jest w „Wielkich nadziejach”?

– spytała.

Jej pierwszej powiedziałem, że chcę zostać pisarzem „z powodu” „Wielkich nadziei”, choć tak naprawdę była to jej zasługa.

– Chcesz zostać pisarzem! – wykrzyknęła; nie sprawiała wrażenia zachwyconej tą informacją. (Po latach zachodziłem w głowę, czy podobną niechęć wzbudziły w niej wyraz „sodomita”, gdybym zadeklarował, że chcę nim zostać).

– Owszem, pisarzem... tak mi się zdaje

– odpowiedziałem.

– Nie możesz wiedzieć, że chcesz nim zostać! To nie jest kwestia wyboru.

Trafiła w dziesiątkę, ale wówczas o tym nie wiedziałem. I nie nagabywałem jej wyłącznie kierowany chęcią ponownego przeczytania książki, gdyż im bardziej traciła cierpliwość, tym mocniej falowała jej dziewczęca pierś.

Jako piętnastolatek byłem nią oczarowany bardziej niż przed dwoma laty. Poprawka: jako piętnastolatek szalałem za nią bardziej niż w wieku lat trzynastu, kiedy fantazjowałem tylko na temat uprawiania z nią seksu i zostania pisarzem – podczas gdy dwa lata później ów wymaginywany seks przybrał bardziej zaawansowaną (i sprecyzowaną) postać i miałem już na koncie kilka zdań, które wzbudziły we mnie pewną dozę samozadowolenia.

Zarówno seks z panną Frost, jak i zostanie pisarzem były oczywiście wielce nieprawdopodobne – ale czy możliwe choćby w znikomym stopniu? O dziwo, starczało mi pychy, aby w to

wierzyć. Skąd czerpałem przesadną dumę bądź nieuzasadnioną pewność siebie? Cóż, to zapewne sprawka genów.

Bynajmniej nie po kądzieli, powiedzmy sobie otwarcie: nie trzeba tupetu, żeby zostać suflerem. Niejeden wieczór spędziłem z mamą w tej ostoi talentu (i beztalencia), jaką była amatorska trupa teatralna naszego miasteczka. Z poczuciem własnej wartości bywało różnie – stąd sufler.

Jeśli mój tupet odziedziczyłem, z pewnością miałem go po biologicznym ojcu. Podobno nigdy nie widziałem go na oczy, no może raz; właściwie znałem go tylko z opowieści, przy czym należy zaznaczyć, że jego reputacja pozostawiała wiele do życzenia.

„Szyfrant”, mawiał o nim mój dziadek – lub rzadziej „sierżant”.

Mama rzuciła studia z powodu sierżanta, mówiła babcia.

(Wolała określenie „sierżant”, któremu nadawała pogardliwą wymowę, niż „szyfrant”). Nie wiedziałem, czy William Francis Dean istotnie stał się powodem, dla którego mama rzuciła studia; w zamian poszła do szkoły dla sekretarek, lecz było to, nim zaszła w ciążę. I ze szkoły dla sekretarek też wyszły nici.

Dowiedziałem się od mamy, że wyszła za tatę w Atlantic City w stanie New Jersey, w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – trochę późno jak na przymusowy ślub, ponieważ przyszedłem na świat w First Sister w stanie Vermont rok wcześniej, w marcu. „Ślub” (zawarty w Urzędzie Stanu Cywilnego) był pomysłem babci – tak twierdziła ciotka Muriel. Dano mi do zrozumienia, że William Francis Dean nie palił się do ożenku.

– Rozwiedliśmy się, zanim skończyłeś dwa lata

– powiedziała mama. Widziałem akt małżeństwa, z którego zapamiętałem egzotyczną i dość odległą lokalizację; ojciec przebywał w New Jersey na szkoleniu. Nikt nie pokazał mi orzeczenia o rozwodzie.

– Sierżant nie był zainteresowany małżeństwem

i dziećmi – zaznaczyła nie bez wyższości babcia; już

w dzieciństwie widziałem, że ciotka odziedziczyła wyniosłość po swojej matce.

Lecz z uwagi na to, co zaszło w Atlantic City – nieważne, że pod naciskiem i poniewczasie – ów akt małżeństwa usankcjonował moje pochodzenie, i tak zostałem Williamem Francisem Deanem juniorem. Na pocieszenie miałem chociaż jego nazwisko i część genów na dokładkę, o „charyzmie” nie wspominając.

– Jaki był? – pypytywałem matkę setki razy. Nie oponowała, wręcz przeciwnie.

– Och, bardzo przystojny... Ty też będziesz – dodawała zawsze z uśmiechem. – I miał kupę charyzmy. – Nim zacząłem dorastać, mama okazywała mi mnóstwo czułości.

Nie wiem, czy wszyscy nastoletni chłopcy przywiązują do chronologii tak samo małą wagę jak ja, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy zbadać porządku wydarzeń. Matka musiała zająć w ciążę pod koniec maja lub na początku czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy ojciec kończył pierwszy rok na Harvardzie. A jednak nikt, przynigdy – nawet sarkastyczna ciotka Muriel – nie powiedział o nim „harwardczyk”. Zawsze nazywano go „szyfrantem” (albo „sierżantem”), chociaż mama szczyliła się powiązaniem z tak prestiżową uczelnią.

– Wyobraź sobie iść na Harvard w wieku zaledwie piętnastu lat! – powtarzała.

Jeśli jednak na początku pierwszego roku na Harvardzie (we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku) mój charyzmatyczny ojciec liczył sobie piętnaście lat, musiał być młodszy od matki, której urodziny przypadały w kwietniu. W kwietniu czterdziestego roku skończyła dwadzieścia lat, a gdy przyszedłem na świat w marcu czterdziestego drugiego, była niemalże w przededniu dwudziestych drugich urodzin. Czy nie wzięli ślubu, kiedy dowiedziała się o ciąży, ponieważ mój ojciec nie miał jeszcze osiemnastu lat? Skończył osiemnaście w październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. „Adekwatnie obniżono wiek poborowy”, zakomunikowała mi matka. (Dopiero później wpadłem na to,

że wyraz „adekwatnie” nie pochodził z jej słownika;
niewykluczone, że przemawiał przez nią harwardczyk).

– Ojciec wierzył, iż lepiej zapanuje nad swoim militarnym przeznaczeniem, gdy zaciągnie się na ochotnika, co nastąpiło w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego – uściśliła mama. („Militarne przeznaczenie” też nie pochodziło od niej i harwardczyka miało wypisanego na czole).

Na początku służby wojskowej, w marcu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, tata dojeżdżał autobusem do Fort Devens w Massachusetts. W owym czasie siły powietrzne stanowiły część armii; dostał specjalność szyfranta. Na potrzeby szkolenia siły powietrzne przejęły Atlantic City i okoliczne wydmy. Ojciec oraz inni poborowi biwakowali w luksusowych hotelach, które systematycznie dewastowali. Zdaniem mojego dziadka „w barach nikt nie sprawdzał dokumentów. W weekendy do miasta zjeżdżały dziewczęta, najczęściej pracownice rządowe z Waszyngtonu. Dam głowę, że zabawa była przednia, a wydmy ostrzelane doszczętnie”.

Mama podobno odwiedziła tatę w Atlantic City „raz czy dwa”. (Kiedy jeszcze nie byli małżeństwem, a ja miałem rok?).

Na kwietniowy „ślub” w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku mama musiała pojechać wraz z dziadkiem; zapewne było to tuż przed wysłaniem taty na kurs do Pawling w stanie Nowy Jork, gdzie poznał książki kodowe i wstęgi cyfr. Stamtąd, u schyłku lata czterdziestego trzeciego roku, został wysłany do Chanute Field w Rantoul w stanie Illinois.

„W Illinois wprowadzono go w arkana kryptografii”, opowiadała matka. Zatem parę miesięcy po moim urodzeniu wciąż utrzymywali ze sobą kontakt. (Wyraz „arkana” też nieczęsto gościł w jej słowniku).

– W Chanute Field twój tata poznał podstawową wojskową maszynę szyfrującą, zasadniczo terminal będący elektromechanicznym urządzeniem wirnikowym – powiedział mi dziadek. Tak samo mógłby do mnie mówić po łacinie: pewnie nawet ojciec nie zdołałby mi tego objaśnić.

Dziadek nigdy nie mówił o tacie z przekąsem i lubił opowiadać o jego wojennych przygodach. Dzięki amatorskim występom w lokalnej trupie miał zadziwiającą pamięć do szczegółów, której zawdzięczałem ścisłą relację na temat późniejszych perypetii ojca – przy czym wcześniejsze związane z rozszyfrowywaniem zaszyfrowanych wiadomości też były niczego sobie.

Kwaterna amerykańskiej 15. Armii Powietrznej znajdowała się w Bari we Włoszech. 760. Szwadron Bombowy, do którego należał mój ojciec, stacjonował w bazie lotniczej armii Spinazzola, na rolniczym południu miasta.

Po inwazji aliantów na Włochy, siły powietrzne 15. armii zajęły się bombardowaniem południowych Niemiec, Austrii oraz Bałkanów. Od listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku do września czterdziestego piątego do bazy nie wróciło ponad tysiąc bombowców B-24. Ale szyfranci nie latali. Tata rzadko opuszczał kwaterę w Spinazzola i ostatnie dwa lata wojny spędził w towarzystwie swoich szyfrów i tajemniczych urzędzeń.

Podczas gdy bombowce przypuściły atak na nazistowskie kompleksy fabryczne w Austrii oraz pola ropy naftowej w Rumunii, tata nie zapuszczał się dalej niż do Bari, najczęściej w celu handlowania papierosami na czarnym rynku. (Matka zapewniła mnie, że sierżant William Francis Dean nie palił, ale zarobiwszy na papierosach, kupił sobie w Bostonie samochód, chevroleta coupe rocznik 1940).

Jego demobilizacja przebiegła względnie gładko. Wiosną czterdziestego piątego spędził w Neapolu, miasto opisywał jako „czarujące, pogodne i skąpane w piwie”. (Opisywał komu? Jeśli rozwiódł się z mamą, nim skończyłem dwa lata – rozwiódł jak? – czemu pisał do niej, gdy miałem prawie trzy?).

Może jednak pisywał do dziadka; to od niego dowiedziałem się, że tata wsiadł w Neapolu na transportowiec marynarki wojennej. Po krótkim pobycie na Trynidadzie poleciał C-47 do bazy w Natal w Brazylii, gdzie podobno kawę mieli „pierwsza klasa”. Z Brazylii na pokładzie kolejnego „podstarzałego” C-47 udał się do Miami. Wojskowy pociąg na północ rozwoził

powracających żołnierzy do domu; tym sposobem tata znalazł się z powrotem w Fort Devens w stanie Massachusetts. W październiku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku było za późno na powrót na Harvard, więc za pieniądze z kontrabandy kupił chevroleta i zaczął się tymczasowo w dziale z zabawkami Jordan Marsh, największego domu towarowego w Bostonie. Na uczelnię wrócił jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, wybierając romanistykę, czyli – jak wyjaśnił mi dziadek – języki i tradycje literackie Francji, Hiszpanii, Włoch oraz Portugalii. („Lub przynajmniej dwóch albo trzech z nich”, uzupełnił).

– Twój ojciec miał zdolności do języków – twierdziła matka – może stąd smykałka do kryptografii? – Pytanie tylko, skąd matka i dziadek mieli tak dokładne informacje na temat jego studiów? Jakim cudem wiedzieli o tym wszystkim? Kto im powiedział?

Zachowało się zdjęcie ojca – przez lata jedyne, jakie widziałem. Wygląda na nim bardzo młodo i bardzo chudo. (Była to późna wiosna lub wczesne lato czterdziestego piątego roku). Je lody na transportowcu marynarki wojennej, gdzieś między wybrzeżem południowych Włoch i Karaibami, zanim przybili na Trynidad.

Domyślam się, że czarna pantera na jego kurtce niemal bez reszty owładnęła moją dziecięcą wyobraźnią; groźne zwierzę było symbolem 460. Grupy Bombowej. (Kryptografia stanowiła przedsięwzięcie stricte naziemne – co nie zmienia faktu, że szyfranci dostawali lotnicze kurtki).

Ubrdałem sobie, iż posiadam pewne cechy bohatera wojennego, choć szczegóły wojennych osiągnięć ojca nie brzmiały zbyt heroicznie, nawet w uszach dziecka. Lecz dziadek podsycał we mnie to przekonanie, podkreślając wagę wszystkich detali, i powtarzał przy każdej okazji: „Widzę w tobie przyszłego bohatera!”.

Babcia nie miała o Williamie Francisie Deanie nic dobrego do powiedzenia, a matka zaczynała i (przeważnie) kończyła każdą wypowiedź od „bardzo przystojny” i „kupa charyzmy”.

No, może niezupełnie. Na moje pytanie, dlaczego im nie wyszło, odpowiedziała: „Widziałam, jak całował kogoś innego”, i ucięła zdawkowo, jak podpowiedziałyby aktorowi, który zapomniał ostatniego słowa. Mogłem się domyślić, iż wydarzyło się to, gdy była w ciąży – lub nawet po moim narodzeniu – i widok złączonych ust utwierdził ją w przekonaniu, że nie chodzi o niewinny pocałunek.

– Założę się, że poszli w ślinę, łącznie z wpychaniem języka do gardła – poinformowała mnie starsza kuzynka, grubo ciosane dziewczę, latorośl ciotki Muriel. Ale kogo mógł całować tata? Zastanawiałem się, czy poszło o jedną z weekendowych pańienek z Waszyngtonu. (No bo po cóż innego dziadek miał o nich wspominać?).

W owym czasie nie wiedziałem nic więcej; ot, garść informacji. Wystarczyły jednak, bym stracił zaufanie do własnej osoby – ba, poczuł do siebie antypatię – gdyż przejawiałem skłonność do przypisywania swoich wad biologicznemu ojcu. Obwinałem go za każdy zgubny nawyk, wszelkie świństwa i grzeszki; jednym słowem, hołdowałem przekonaniu, że wszystkie moje demony mają dziedziczny charakter. Każdy aspekt mojej osoby, który budził we mnie wątpliwości lub strach, na pewno pochodził od sierżanta Deana.

Czy mama nie mówiła, że „będę” przystojny? Czy to również nie było przekleństwem? Co do charyzmy: no cóż, czy nie założyłem (w wieku lat trzynastu), że zostanę pisarzem? Nie wyobrażałem sobie seksu z panną Frost?

Wierzcie mi, nie chciałem być potomkiem marnotrawnego ojca, jego pomiotem genetycznym, który zapładnia młode kobiety i je porzuca. Taka była bowiem metoda działania sierżanta Deana, nieprawdaż? Nie życzyłem sobie nawet jego nazwiska. Nienawidziłem być Williamem Francisem Deane junior – prawie-bękartem szyfranta! Jeśli kiedykolwiek istniał dzieciak, który chciał mieć ojczyrna i marzył, by matka miała przynajmniej stałego chłopaka, byłem nim ja.

Fakt ów w następstwie prowadzi mnie do tego, co uważałem niegdyś za początek rozdziału, gdyż mogłem zacząć opowieść

od Richarda Abbotta. Mój przyszły ojczym wprawił w ruch
maszynę mojej przyszłości: gdyby matka nie zakochała się
w Richardzie, być może nigdy nie poznałbym panny Frost.
(...)